

A woman with dark hair, wearing a pinkish-red coat and a matching hat, holds a large, plain, reddish-brown book against her face. The background is a soft-focus Venetian canal scene with gondolas and a building with a red roof. The text is overlaid on the woman's face and the book.

MARTIN
CRUZ SMITH

Dziewczyna
z Wenecji

ALBATROS

Rozdział 1

Bez księżycy małe wysepki zniknęły i Wenecja tonęła w ciemności. Ale gwiazdy były tak jasne, że przyciągały Cenza jak magnes, chociaż spomiędzy palców jego stóp sączyło się błoto. Nad laguną niósł się słaby pogłos dzwonów kościelnych, znad farm napływał zapach gnoju, a parę razy doszło z oddali tremolo silnika niemieckiej kanonierki prującej wodę.

Godzina policyjna zabraniała wszelkiej nocnej aktywności wszystkim z wyjątkiem rybaków. Jako stworzenia nocne rybacy spali za dnia i łowili nocą. Bywało, że spędzali na lagunie wiele dni i kiedy wracali na ląd, tak bardzo cuchnęli rybą, że snuły się za nimi koty.

Jedynym źródłem światła była lampka oliwna wisząca na maszcie, ale Cenzo nie musiał widzieć zdobyczy – wystarczyło jedno dotknięcie i już wiedział, czy jest to okoń morski, barwena czy zgubiony but. On sam nie nosił butów ani kaloszy – błoto by je wessało. Miał mnóstwo różnych sieci, pułapek, harpunów i podbieraków oraz wilgotne płótno żeglarskie do przykrywania ryb. Każda noc była inna. Dzisiaj brały głów-

nie mątwy, które przyplłynęły tu złożyć jaja. Miały oczy jak nie z tego świata i przewracały nimi, gapiąc się na lampkę. Połowa rybaków twierdziła, że najlepiej łowić je podczas pełni. Druga połowa, że broń Boże. Sole, okonie i *orata* Cenzo wkładał do wiklinowego koszyka. Sumiki – te małe, karłowate – wrzucał z powrotem do wody.

Powietrze zawibrowało i wysoko w górze przeleciały bombowce aliantów, by siać spustoszenie w Turynie, Mediolanie czy Weronie. Wszędzie, tylko nie w Wenecji. Świętą Wenecję atakowały jedynie gołębie. Podczas zaciemnienia nadciągali uchodźcy i mieszkano tam teraz trzy razy więcej ludzi niż zwykle.

Cenzo zamierzał najpierw popłynąć na targ, a potem do domu. Od tygodnia nie kąpał się w zwykłej wodzie, od tygodnia jadł tylko pieczoną rybę i placki z polenty. Właśnie zepchnął łódź z trawy i już chciał opuścić ster, kiedy na powierzchni wypłynęło coś dużego. Podniósł wyżej lampkę i zobaczył ciało dziewczyny.

Przeszedł go zimny dreszcz. Pomyślał, że ma zwidy i ciało zaraz zniknie. Rybacy widywali różne rzeczy na morzu, a nocą wzrok często płatał figle. Pod dotykiem trup mógł zmienić się w biały brzuch płaszczki albo martwą twarz ośmiornicy. Ale nie, ten się nie zmienił.

Leżała na plecach, w brudnej koszuli nocnej. Cenzo nie umiał określać wieku młodych kobiet, ale ta nie miała chyba jeszcze dwudziestu lat. Była bosa, miała zamknięte oczy i skórę tak białą, że prawie przezroczystą. Cenzo nie należał do ludzi wierzących, mimo to odruchowo przeżegnał się i wciągnął ją na pokład – trudne zadanie, bo trupy są bezwładne. Już kładąc ją na dnie, pomyślał, że nie powinien tego robić. Kobieta na pokładzie łodzi przynosi pecha, a martwa dziewczyna pewnie

jeszcze coś gorszego.

Ot, i kłopot. A on nie chciał kłopotów. Po jednej stronie byli faszyci, po drugiej partyzanci, a po trzeciej niemieccy żołnierze, którzy mogli na kogoś tylko spojrzeć i z miejsca go zastrzelić. Jedyne szalenie podniósłby rękę i powiedział: „Bardzo przepraszam, *signori*, ale wyłowilem z wody trupa dziewczyny”.

Zastanawiał się, jakim cudem znalazła się tak daleko od brzegu. Zgoda, większość laguny zajmowały płycizny, lecz były tu również labirynty kanałów, a w kanałach, wiadomo, prądy są tak silne i zmienne, że każdy może utknąć tam jak ryba w sieci. Ktoś musiał ją tu przywieźć i z jakiegoś powodu porzucić, choć Cenzo nie dostrzegął na jej ciele siniaków ani śladów przemocy.

Rozplótł jej włosy. Miała długie czarne rzęsy i delikatny podbródek; taka młodzianka, z zamkniętymi oczami, wyglądała spokojnie jak Najświętsza Panienka na obrazie. Nie, nie mógł jej wrzucić do wody jak worka śmieci. Z przyzwoitości skrzyżował jej ręce na piersi i przykrył ją wilgotnym płótnem do chłodzenia ryb.

Co tu robić? Biblia mówi, że martwi muszą pogrzebać martwych, a zadaniem żywych jest żyć dalej. Ale... Ale śmierć kogoś młodego jest jak obelga. Cenzo nie uważał się za świętego. Z doświadczenia wiedział, że nie może nim być ten, kto chce przeżyć. Chociaż może wybrać kompromis. W tej ciemnicy nikt go nie widział. Mógłby podrzucić ciało na Ponte della Paglia w Wenecji, gdzie wystawiano zwłoki do identyfikacji, i zdążyłby jeszcze sprzedać ryby przed zamknięciem targu.

Dość! Wystarczy! Postanowione. Stał twarzą do dziobu, włożył wiosła w dulki i zaczął wiosłować, z każdym ruchem mocno pochylając się do przodu. Po chwili złapał rytm i po-

płynął szybko w stronę granicy między nocą a otchłanią.

Skąd ta dziewczyna się tu wzięła? Nie chciał o tym myśleć. Okrutny ojciec, zazdrosny kochanek, samobójstwo, obłąd? A może przysłał ją diabeł, aby wiodła ku zgubie porządnych rybaków? Wraz z pierwszym podmuchem wiatru postawił żagiel, kawał płótna z podobiznami trzech amorków, ledwo widocznymi w ciemności.

Rybacy wierzyli w demony i zjawy. Każdy słyszał opowieści o mężczyznach, którzy zasiadali przy rodzinnym stole dzień po tym, jak utonęli. Albo o cudownym objawieniu świętego Michała Archanioła, który uciszył sztorm. Albo o kapitanie, który zlekceważył samą Madonnę i za karę wir wessał go do kubka z drinkiem. Przesady. Bajki. Bajeczki na dobranoc, po których przerażone dzieci nie mogą zasnąć.

Ledwo wypłynął z moczarów na otwarte wody, kiedy znowu usłyszał dudnienie silnika, tym razem znacznie bliżej. Niemiecka kanonierka pędziła na niego jak pociąg i jaskrawe światło szperacza nagle obrysowało jego sylwetkę przeraźliwą bielą.

Rozdział 2

Z najeżonymi lufami karabinów maszynowych burtami i mostkiem kanonierka była królową laguny. Niefrasobliwych *Kameraden*, którzy stacjonowali kiedyś w Wenecji, zlurowali weterani frontu wschodniego i radość z początkowych zwycięstw Wehrmachtu ustąpiła miejsca zmęczeniu, jakie towarzyszy przegrywanej wojnie.

Żołnierski umysł działa na bardzo prostej zasadzie. Sojusznik to ktoś, kto walczy u twojego boku aż do gorzkiego końca. Ktoś, kogo nie trzeba ratować, kto nie poddaje się w połowie wojny ani nie wita wroga różami i winem. A kim był teraz Mussolini? Wodzem czy błaznem? I kim byli Włosi, jeśli nie zdrajcami?

Żołnierze rzucili linę, przyciągnęli *Fatimę* do burty, kazali Cenzowi opuścić żagiel i wejść na pokład. Pchnęli go szorstko w stronę ładowni, gdzie dwóch esesmanów w szarych mundurach i oficerkach pochylało się nad mapą w nikłym świetle lampy – osłoniętej i przygaszonej, bo chociaż na lagunie kanonierka nie miała sobie równych, w porównaniu z alianckim myśliwcem była jedynie marnym owadem. Starszy esesman

wydawał się zmęczony życiem, młodszy sfrustrowany. Żeby zachować godność, Cenzo włożył kapelusz. Żołnierze zobaczyli, że jest na bosaka, i wybuchnęli śmiechem.

– Z nieba nam spadłeś. – Ten starszy kazał mu podejść bliżej. – Pomożesz nam rozstrzygnąć zakład. Otóż porucznik Hoff twierdzi, że zabłądziliśmy.

– Nie, panie pułkowniku – zaprotestował młodszy. – Wyraziłem tylko opinię, że nie powinniśmy polegać na miejscowych mapach. Za bardzo tym ludziom wierzymy. Oni łowią tu ryby jak w beczce.

– To prawda? – spytał pułkownik. – Jak w beczce?

– Tak – potwierdził Cenzo – ale trzeba wiedzieć, gdzie ta beczka jest.

– Właśnie. Widzisz, Hoff? Nawet od prostego rybaka można się czegoś nauczyć. Wszyscy wiedzą, że Włosi lepiej łowią, niż wojują. Dlatego pytam: gdzie teraz jesteście?

– Skąd mam wiedzieć? – odparł porucznik. – Jest ciemno, choć oko wykol.

Pułkownik spojrzał na Cenza.

– Znajdziesz nas na mapie?

Nie można było uniknąć jego wzroku. Połowę twarzy miał szarą i poharataną, z kikutem ucha, ale dzięki jasnoniebieskim oczom wyglądał jak popiersie dumnego arystokraty, które upadło, wyszczerbiło się, lecz wciąż robiło wrażenie.

Silnik dudnił na wolnych obrotach. Wszyscy patrzyli na Cenza jak na tańczącego psa.

– Pewnie spieszysz się na targ – ciągnął pułkownik. – Więc pokaż nam, gdzie jesteśmy.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Mapa jest za mała. Jesteśmy dalej na północ, na mokradłach San Spirito.

– To ważne? – spytał porucznik. – Cała ta laguna to jedno zasrane mokradło.

– Jeśli się nie wie, jaki obrać kurs, to wtedy tak, ważne.

Hoff miał rozmazane spojrzenie pijanego.

– Wiesz, dlaczego włoscy rybacy łowią na czworakach? Bo to dla nich normalna pozycja. Czy nie tak łowicie?

Cenzo wzruszył ramionami.

– Zależy co. Czasem łowimy na haczyk, czasem siecią, a czasem trzeba uklęknąć i zanurzyć brodę w wodzie.

– Porucznik Hoff jest tu nowy – powiedział pułkownik. – Może czegoś go nauczysz?

– Ale czego? – spytał Cenzo.

– Kilku zwykłych przyjemności.

– Jediną przyjemnością, jaką zna niemiecki żołnierz, jest służba Führerowi – wyrecytował Hoff.

– Słusznie. – Pułkownik podniósł głos, żeby usłyszała go cała załoga. – Słyszeliście? – Spojrzał na Cenza. – A twoim zdaniem?

– Nie wiem. Ja tylko łowię. Nocą łowię, a za dnia śpię.

– Sam? – zainteresował się pułkownik.

– Sam.

– Z dala od innych łodzi?

– Tam gdzie są ryby.

– A dzisiejsza noc jest taka sama jak inne?

– Zwyczajna.

– Nie słyszałeś ani nie widziałeś niczego podejrzanego?

– Łowię, a potem śpię. To wszystko.

– Słowem, proste życie.

– Tak.
– Dokumenty – zażądał porucznik.
– Nie mam – odparł Cenzo.
– Macie je zawsze nosić przy sobie.
– Tak, ale nie mogę. Zamokłyby i rozpadły się.
– Skąd mamy wiedzieć, czy nie jesteś partyzantem albo przemytnikiem?

– Pokaż ręce – rozkazał pułkownik.

Cenzo zbliżył ręce do światła. Były silnie umięśnione i pokryte bliznami.

– Tak, to są ręce rybaka – stwierdził pułkownik. – Jak się nazywasz?

– Innocenzo Vianello.

– A dla przyjaciół?

– Cenzo.

– Skąd?

– Z Pellestriny.

– Gdzie to jest? – spytał Hoff pułkownika.

– To wioska za laguną. Daleko stąd, na końcu świata.

Nie dość, że pułkownik mówił świetnie po włosku, to jeszcze wpadał czasem w wenecki dialekt, który był zupełnie innym językiem, co robiło wrażenie.

– Pierwsze słyszę – mruknął Hoff.

– Nic dziwnego – powiedział pułkownik. – A to nazwisko nosi połowa mieszkańców Pellestriny.

– Podziwiam pańską dogłębną znajomość tutejszych zwyczajów – rzekł porucznik – ale uważam, że jest pan zbyt wielkoduszny dla ludzi, którzy nas zdradzili. Mówi pan tak, jakby się panu tu, w Wenecji, podobało.

– Kocham Wenecję – oświadczył pułkownik. – Moja ro-

dzina miała kiedyś willę na Lido i wraz z braćmi spędzałem na plaży każde lato. W La Fenice widziałem pierwszy raz w życiu operę. Na Lido pierwszy raz się kochałem, w sąsiedniej przebie-ralni, tuż obok naszej. Po uniwersytecie studiowałem architek-turę w Weronie i Mediolanie. A teraz widzę, jak ta wspaniała świątynia naszej cywilizacji rozsypuje się w gruzy. Jak pan myśli, jakie to uczucie? Szkoda, że nie widział pan Rotterdamu. Albo Berlina. Uciekaj, Vianello. Zabieraj swoje ryby i płyn na targ.

Genzo ruszył w stronę burty. Żołnierze zeszli mu z drogi, ale Hoff jeszcze nie skończył.

– Ile masz lat, Vianello?

– Dwadzieścia osiem.

– W takim razie musiałeś służyć w wojsku. Gdzie walczyłeś?

– W Abisynii.

– Z tubylcami uzbrojonymi w muszkiety i włócznie? Na-zywawsz to walką?

– Tak mi się wydawało.

Genzowi znowu stanął przed oczami widok rozpadających się w proch lepiank, czarnych ciał pokrytych ropiejącymi wrzodami od gazu musztardowego i unieruchomionych przez piasek czołgów, na pustyni równie przydatnych jak dzbanek do herbaty.

Hoff podszedł z nim do burty.

– Powiedzmy, że jesteś admirałem i stwierdzasz, że ktoś z twojej załogi ma dżumę.

– Nie jestem admirałem i nie mam okrętu.

– Ale założmy, że jesteś. Nie odizolowałbyś chorego? Nie uznałbyś, że masz taki obowiązek względem pozostałych ma-rynarzy?

– Pewnie tak.

– I właśnie takie zadanie powierzono mnie i pułkownikowi Steinerowi. Zaufanie to świętość. Podprowadź łódź bliżej.

– Po co?

– Bo tak chcę. Łowisz sam?

– Tak.

– To chyba trudne.

– Powinienem mieć pomocnika, ale jakoś sobie radzę.

– Dobrze, zobaczmy.

– Chce pan wejść na pokład?

– Właśnie.

Cenzo pociągnął za cumę i *Fatima* dobiła do burty. Żołnierze stłoczyli się przy relingu. Przedtem Cenzo nie zwracał na nich uwagi z nadzieją, że oni też pozostaną obojętni. Ale teraz się zaciekawili. W powietrzu zalatywało alkoholem. Byli podpici, dopiero teraz to zauważył. Widział również, że nie pomoże mu pochylony nad mapą Steiner.

Fatima zakołysała się, kiedy Hoff wszedł na pokład. Niemiec włączył latarkę i kazał Cenzowi podnieść wilgotne płótno – spojrzwały na nich zdumione oczy mątów, kalmarów i morskich leszczy. Żagiel był zwinięty, a na wbitym w maszt gwoździu wisiała podobizna Najświętszej Pani. Porucznik oświetlił latarką pudełka po cygarach pełne haczyków i igieł, oświetlił trójzab i podbierak, kotwicę i harpun. Przesuwał się powoli w stronę rufy, gdzie leżał stos płótna, które ukazało się w świetle, wypiętrzone i pofałdowane. Co też może się pod nim kryć? Pijany załogant, pies, ciało dziewczyny?

– Skoro już przeprowadzamy rewizję, zróbmy to porządnie – powiedział Hoff.

Zaczął od skrzynek. Nie tyle oglądał mątwy, ile wyrzucał je na pokład i kopał skrzynki.

Żołnierze byli zachwyceni. Niektórzy sugerowali nawet, którą porucznik ma kopnąć. Rozwali ją czy nie? Jak w wesołym miasteczku, na stoisku, gdzie można sprawdzić swoją krzepę. Cenzo zastanawiał się, jak zareagują, kiedy Hoff podniesie płótno. Pewnie szczęki im opadną. Tylko co potem?

Po jaką cholereę wyciągał z wody tę dziewczynę? Chyba zwa-riował. To przez wojnę. Powinna się wreszcie skończyć. A tu masz: Mussolini rządził marionetkowym państwem, Amerykanie zwlekali, a Niemcy walczyli dalej, jak mrówki bez głów.

– Co jest pod tym płótnem? – spytał Hoff.

– Niech pan sam zobaczy.

Cenzo zamknął oczy i wyobraził sobie, jak wraca do domu i wita go procesja dzieci i kotów. Jak po ciepłej kąpieli zasiada do kolacji i najpierw je kawałek melona owiniętego prosciutto, potem kremowe risotto, które zapija dzbankiem zimnego prosecco, a jeszcze potem ossobuco z mocnym czerwonym winem.

Otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy dobiegł go głos porucznika.

– Samo gównno, jak wszędzie!

W migotliwym świetle latarki zobaczył zmiażdżone butami mątwy, roztrzaskane skrzynki, pocięte sieci i podziurawione nożem płótno. Ani śladu dziewczyny. Nie spodziewał się krwi, bo trupy nie krwawią. Ale i nie znikają jak kamfora.

Chwilę trwało, zanim dotarło do niego, że Niemiec wraca na pokład kanonierki. Stamtąd wydał ostatni rozkaz.

– Zabieraj się stąd! Wstyd! Twoja łódź to pływający chlew!

Cenzo powiosłował wzdłuż brzegu mokradła. Nie wiedział, czy tamci będą go ścigać, ale zanim światło szperacza ponownie omiotło wodę, skręcił w przesmyk zbyt płytki,

żeby mogli za nim popłynąć. Na wszelki wypadek nie stawił żagla i prześlizgiwał się między kanałami, aż zacumował w sitowiu i trawie.

Podniósł wyżej lampkę i oszacował straty. Zniszczenia okazały się nie tak duże, jak myślał. Diabli wzięli nocny połów i wszystkie skrzynki. Wędką i harpun były połamane i trzeba będzie kupić nowe, ale sieci i płótno dadzą się zacerować. Znalazł nawet placek z polenty, zawinięty w papier i nienaruszony. Skończywszy inspekcję, wszedł z lampką do głębokiej po pas wody, żeby wyciągnąć zaplątaną w ster sieć.

Wciąż nie rozumiał jednego: co się stało z dziewczyną? Kim była, skąd się tu wzięła, gdzie przepadła? Może to żołnierze z kanonierki zabrali ją niepostrzeżenie, kiedy rozmawiał z pułkownikiem Steinerem i porucznikiem Hoffem?

A może była jedynie wytworem jego wyobraźni, fantazją kogoś, kto żył w świecie wiecznego półmroku? Czy ktoś jeszcze ją widział? Dlaczego Cenzo nie wspomniał o niej Niemcom, kiedy wszedł na pokład kanonierki? Bywało, że po godzinach wpatrywania się w ciemność rybak widział ducha w smudze mgły albo słyszał żałosny jęk w podmuchu wiatru omiatającego otwartą butelkę.

Ciężkie, monotonne buczenie kazało mu podnieść wzrok i zobaczył bombowce – brytyjskie lancastery i amerykańskie liberatory – wracające w nierównym szyku z nocnej misji. Niektóre leciały spokojnie i pewnie. Inne, te z uszkodzonymi silnikami – z przejmującym gwizdem. Jeden, płonący, zgrzytał i jazgotał jak oświetlony wagonik kolejki górskiej w wesołym miasteczku, chociaż na pokładzie nie było już pewnie nikogo żywego. Ognista kula utrzymywała stałą wysokość i kurs, aż zniknęła mu z oczu.

Cenzo przeczekiwał wojnę. Wystarczyło mu Abisynii. Włochy najechały na kraj, którego siły powietrzne miały tylko jeden samolot, by za jednym uderzeniem ucywilizować ciemnych tubylców i dać światu znać, że oto narodziło się nowe Imperium Rzymskie. Teraz, kiedy Morze Śródziemne znowu było *Mare Nostrum* – naszym morzem! – każdy patriota miał prawo wypiąć pierś i dumnie podnieść głowę.

Coś zakołysało łodzią z drugiej strony i wyrwało go z zamyślenia. Tak bardzo się cieszył, że umknął Niemcom, iż nie przyszło mu nawet do głowy, że któryś z nich mógł za nim popłynąć.

Gotowy do ataku wciągnął się na pokład, pomagając sobie łokciami. Ale zamiast Niemca zobaczył trupa, martwą dziewczynę. Jadła jego placek z polenty. Spojrzała na niego i bez mrugnienia okiem wróciła do jedzenia.

Rozdział 3

Cenzo znał lagunę jak własną kieszeń, wszystkie jej ukryte prądy i kanały, głębokie fosy i fałszywe wyspy, które ukazywały się i znikwały wraz z przyplływem, i miał nadzieję, że dziewczyna była jedynie mirażem. A tu proszę: dojadając resztki placzka i oblizując palce, patrzyła na niego w przyćmionym świetle lampki.

– Dobrze? – spytał. – To moja kolacja. Smakuje?

Nie odpowiedziała.

– Co ty tu robisz?

Cisza.

– Jak ci na imię?

Ani słowa. I dobrze. Im mniej o niej wiedział, tym lepiej. Była jak ryba, która wpadła do łodzi. Teraz musiał ją tylko wyrzucić. A może sama wyskoczy. W tym, że raz ukazywała się, raz znikwała, było coś nienaturalnego. Nie wiedział, ile ma lat, bo mogła mieć zarówno piętnaście, jak i dwadzieścia.

– Myślałem, że nie żyjesz. Nie żyłaś? Zmartwychwstałaś? Nie powiesz? Dobrze, niech ci będzie. Zawiozę cię na policję. Jeśli nie chcesz, zawsze możesz wrócić do wody.

Wstał, odepchnął się wiosłem i *Fatima* ruszyła przez sito-
wie. Była piękna noc, gwiazdy dosłownie spływały z nieba na
ziemię. Nad wodą dźwięk rozchodzi się jak nigdzie indziej, więc
tym lepiej, że dziewczyna milczała. Nie rozumiał jednak, jakim
cudem dotarła aż tak daleko. Zgoda, laguna jest płytka i można
nią przejść kawał drogi, ale tylko brodząc w wodzie i walcząc ze
zdradzieckimi prądami. Mokrądla też są labiryntem kanałów,
w jednym miejscu sięgających ledwie do pasa, ale już krok dalej
bezdennych.

Powiał wiatr i Cenzo postawił żagiel. *Fatima* wyglądała
jak toporny drewniany chodak, ale prostota była jej siłą. Mia-
ła wysoko podniesiony dziób – na złą pogodę – i pozbawione
kila płaskie dno – na płycizny. Zerknął ukradkiem na dziew-
czynę: rozczesywała włosy palcami, smukłymi jak u prawdzi-
wej damy. Czuł, że się rozgląda, próbuje się zorientować, gdzie
są. Nie bała się, musiał jej to oddać. Tylko że wciąż milczała.

Do łodzi wpadło kilka sardynek, które podskakiwały na
pokładzie. Ochotniczki, pewnie uciekły przed szczupakiem.
Żeby się na nich nie poślizgnąć, wrzucił je do wody. Dziew-
czyna ani drgnęła. Nie spuszczała z niego oczu, jak niechciana,
lecz zdeterminowana pasażerka na gapę.

Cenzo nie miał serca z kamienia. Ale opiekował się dwie-
ma rodzinami, utrzymywał wiele osób. Nie mógł ryzykować.
Nie dalej jak przed miesiącem znaleziono na brzegu laguny
ciało niemieckiego żołnierza. Hitlerowcy ustawili pod ścianą
siedmiu Włochów i ich rozstrzelali. Ot tak.

W oddali majaczyła wyspa Lazzaretto Vecchio, z lazare-
tem, gdzie kiedyś izolowano chorych na dżumę. Porzucano ich
tam, a potem palono. Wyspa nie zapisała się najpiękniej w hi-
storii Wenecji, ale Cenzo uznał, że jest miejscem w sam raz dla

kogoś, kogo właśnie wyłowiono z wody i uratowano. Myślał tak do chwili, gdy zobaczył kanonierkę, która jakby czekała na nich przy molo.

Wyglądała jak olbrzymi skorupiak, który wylazł z morza. Na karabinie maszynowym na górnym pokładzie siedział okrakiem porucznik Hoff, romantycznym tenorem śpiewając *Wie einst, Lili Marleen*. Cenzo pomyślał, że przegrywającemu wojnę niełatwo zachować poczucie solidarności zbiorowej, stąd te hulanki. Ci ludzie byli chodzącymi trupami. Walczyli i ponieśli klęskę pod Anzio, walczyli i przegrali pod Monte Cassino. Bili się na tyle długo, by wiedzieć, że ta wojna skończy się dla nich grobem.

Szybko opuścił żagiel i skręcił, żeby ominąć kanonierkę, lecz niesiona siłą rozpędu łódź sunęła prosto do ujścia kanału. Dziewczyna łypnęła na Cenza spode łba, jakby dogadał się z Niemcami i chciał ją wydać. Posłała go spojrzeniem do piekła i wskoczyła do wody.

Hoff zszedł na ląd, rozpiął spodnie i chwiejnie pomaszerował w mrok, żeby odpowiedzieć na zew natury. Oddał mocz, zadrzał i ujrawszy wspinającą się na brzeg dziewczynę, stanął na palcach. Cierpliwość została nagrodzona.

Uciekinierka pędziła już w stronę ścieżek i ławek zapuszczonego ogrodu, płosząc szczury, które uciekały falami spod dzikich pnączy. Wzdłuż kanału biegł marmurowo-ceglany mur i dziewczynie wydawało się, że widzi twarze w oknach na najwyższym piętrze. Pomachała do nich, niemo wołając o pomoc, lecz one przesunęły się dalej, jak we śnie. Pchnęła zardzewiałe drzwi, wpadła do środka, poczuła ukłucia odłamków sztucznej szyby i odruchowo pochyliła głowę, nadziawszy się na wielką białą ćmę, która ścigała ją korytarzem, tak jak promień latarki.

– *Mein kleines Liebchen*, kochanie ty moje, czy wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał Hoff. – W szpitalu dla umysłowo chorych. Ale na tej wyspie był kiedyś lazaret dla zadzumionych. Trzymano ich tu, dopóki nie wydobrzeli albo nie umarli. Zwykle umierali.

Dziewczyna wślizgnęła się do starego magazynu. Pozostali tam jedynie święci bez głów, wyrwane ze ścian rury i zdeorientowane nietoperze. Tymczasem Hoff bawił się latarką jak dewizką zegarka. Szedł i mówił, teraz głosem pogrążonego w zadumie filozofa.

– Wojna stała się zbyt anonimowa. O dzisiejszych bohaterach nikt nie napisze pięknych ód. Nie będzie kolejnej *Pieśni Horsta Wessla* czy *Szarży lekkiej brygady*. Nawet w obozach koncentracyjnych tożsamość redukuje się do wytatuowanego na ramieniu numeru. Powinnaś mi podziękować, że oszczędziłem wam tego poniżenia.

Dziewczyna wymknęła się na dziedziniec porośnięty zdziçałymi oleandrami. Światło latarki bawiło się z nią w chowanego, aż przycupnęła za sięgającą jej do piersi marmurową studnią z rzeźbionym skrzydlatym lwem, symbolem Wenecji. Światło krążyło, odbijając się od kafelków i ciągle zbliżając, wreszcie znalazło jej oczy.

– Tęskniliśmy za tobą, Giulio – ciągnął Niemiec. – Już wykreśliliśmy cię z listy, co sprawiło nam wielki zawód. – Chwycił ją za włosy, a gdy go kopnęła, odsunął ją od siebie na długość ramienia, jak piękny okaz ryby. – Wkrótce spotkasz się z ojcem. Czas ucieka. – Porucznik poszukał natchnienia w otwartej studni. – A więc kwarantanna. Oczywiście. To najlepsza recepta na wszelkie szkodniki.

Ale kiedy podniósł dziewczynę, głowa odskoczyła mu w bok. Zachwiał się, odwrócił i zobaczył Cenza, który ścisnął

w rękę żelazną rurkę. Niemiec parsknął śmiechem: czy to możliwe, żeby takie zero – durny Włoch, bosonogi rybak! – miało czelność uderzyć esesmana? Uchyliwszy się przed drugim ciosem, wyrwał Cenzowi gazrurkę i rozpiął kaburę, ale wtedy dziewczyna ugryzła go w dłoń i pistolet zaklekołał na kafelkach. Hoff odepchnął ją i zaczął siłować się z głównym napastnikiem, ciało przy ciele, jak w intymnym tańcu. Walcząc, kopali pistolet to w jedną, to w drugą stronę. W końcu Hoff zdołał podnieść broń, lecz Włoch już pochwycił rurę i dzielił go w czoło. Dziewczyna złapała latarkę i poświeciła: oczy Niemca zaszyły mgłą. Przez jego twarz przemknął wyraz niedowierzania, a potem objawienia. Cenzo pchnął Hoffa na cembrowinę. Ten przechylił się jak szalka wagi, zawisł w powietrzu i runął w otchłań. Z szybu dobiegł głuchy stukot, po czym zapadła cisza.

Cenzo zgarnął pistolet, rurkę i latarkę i wrzucił to wszystko do studni.

Niemcy już wołali porucznika, rozcinając ciemność światłem latarek. Cenzo i dziewczyna uciekli z dziedzińca do ogrodu. Cenzo ją niósł, bo miała delikatne stopy, a on twarde i zahartowane. Poza tym bywał na tej wyspie od dzieciństwa i zbadał tu każdy zakamarek. Znał tę płataninę ścieżek i wiedział, gdzie karczochy wyrastają do rozmiarów rycerza w zbroi i gdzie między drzewkami oliwnymi pomykają dzikie kozy. Podążył krętą dróżką, która biegła przez gąszcz aż do brzegu. Tu postawił dziewczynę na ziemi i wszedł do wody.

Zakładał, że część Niemców pozostała na kanonierce. Kazał dziewczynie przytrzymać się cumy, wypchnął łódź z grząskich traw i skierował ją na otwarte wody. Wdrapał się na pokład i na stojąco powiosłował przed siebie, zostawiając za rufą

śląd nie większy niż ledwo widoczne zawirowania. Nie słyszał już krzyków na brzegu, ale postawił żagiel dopiero wtedy, gdy znaleźli się poza zasięgiem szperacza.

– Po ciemku nie dadzą rady, ale są tak dokładni, że prędzej czy później go znajdą. I wrócą po nas. Więc jeśli masz jakąś kryjówkę, powiedz, gdzie mam płynąć.

Dziewczyna milczała.

– Ten Niemiec mówił do ciebie „Giulia”. Tak masz na imię? – Jakby próbował otworzyć ostrygę gołymi rękami. – Dlaczego wspomniał o jakiejś liście? Co to za lista? Nazwisk? Żydowskich? – Ciągle nic. Cisza. – Może nie rozumiesz: w porównaniu z kanonierką *Fatima* jest niewiele szybsza od korka. Trudno uwierzyć, że tak po prostu wskoczyłaś do wody. Taki miałaś plan?

Drgnęła, kiedy podszedł bliżej i okrył ją swoją kurtką. Wciąż milczała. Nic o niej nie wiedział, ale znał niemieckich esesmanów. Jedynie dwie grupy ludzi ścigali równie zawzięcie jak ją: partyzantów i Żydów. I tych, którzy im pomagali.

– Giulia?

Cisza. Zmęczenie wzięło górę i dziewczyna zasnęła. Cenzo podniósł wzrok i spojrzał na utkany z gwiazd całun, na konstelacje, które dodawały mu otuchy, kiedy był dzieckiem.



Gdy się obudziła, niebo było już jasne i błękitne, a *Fatima* dobijała do rzędu podniszczonych bud na palach. Jego chata stała najdalej od brzegu. Cenzo zwinął żagiel, zacumował i pomógł dziewczynie wejść po drabinie na molo.

Chata, zbudowana z tak dużej ilości pakuł, że można by nimi uszczelnić łódź, miała prowizoryczne iluminatory za-

miast okien i szpary w podłodze, przez które widać było wodę. Obok szafki i torby z praniem stały gumowe kalosze. Suchary i ser wisiały w siatce, żeby nie dopadły ich szczury. W kącie leżały zwinięte sieci. Stało tam również biurko, zbite z kilku skrzynek po pomarańczach, z szufladami na sztućce i naczynia, papier, nici i kleszczki do cerowania sieci. Na ścianach były haczyki na ubrania i obraz przedstawiający łódź rybacką na wzburzonym morzu. Na podłodze stały stoiki z pędzlami, pudełko z farbami, terpentyna. Leżała tam również usmarowana farbami paleta.

– Pewnie chcesz się przebrać. – Rzucił jej sztywną od soli koszulę i spodnie i odciął kawałek liny, żeby miała się czym przepasać.

Odwrócił się, kiedy się przebierała. Wyobraził sobie, jakim go widzi: rozczochrane włosy, skóra ciemna jak u Indianina – pewnie był dla niej na wpół nagim dzikusiem.

– Siadaj.

Niechętnie usiadła i obejrzał jej stopy. Były nie tyle pocięte, ile podrapane od biegu po szkle. Teraz mógł się jej przyjrzeć w świetle dnia. Władcza i wyniosła, miała proste włosy i ostre rysy twarzy. Tak, w świecie, który oglądała, jej nazwisko musiało być na jakiejś liście. Sprowadzała duchy.

– Mam na imię Cenzo. Moja łódź nazywa się *Fatima*, a to jest... powiedzmy, że mój dom. Będziesz tu bezpieczna, pod warunkiem że pozostaniesz w ukryciu. Wiesz, że *Fatima* jest pokieroszowana, dlatego muszę zdobyć sprzęt i materiały do naprawy. Rzecz w tym, że kolaboranci i faszyci mają oczy dookoła głowy. Muszę zachowywać się normalnie i robić to, co zwykle. Dlatego zajrzę teraz do matki, wykąpię się, wpadnę do baru i pogram w karty. Przykro mi, ale to potrwa kilka godzin.

Nie rób nic głupiego, nie próbuj przepłynąć laguny. Nie dasz rady. A przede wszystkim nie dotykaj farb. Jak dotąd nie widziałem kanonierki ani esesmanów. Ale kto ich tam wie. Może jeszcze nie znaleźli porucznika, a nawet jeśli, może pomyśleli, że po pijanemu wpadł do studni. Albo zabrakło im paliwa. Wszystko jest możliwe. Jesteś głodna?

Wyjął z siatki ser i odkroił kawałek. Patrzyła na niego podejrzliwie, kiedy szukał grappy; grappa była domowa i dech w piersi zapierał już sam jej zapach.

– Posłuchaj, nie znam się na tym. Zupełnie. Spróbuję ci pomóc, ale musisz być bardzo ostrożna. Słyszałaś, żeby nasi partyzanci uratowali kiedyś amerykańskiego pilota i zaprowadzili go w bezpieczne miejsce? Ja jeszcze tych bohaterów nie spotkałem.

– Byron – powiedziała.

– Kto? – spytał zaskoczony.

– Byron, ten słynny poeta. Przepłynął lagunę. – Musiała nałykać się morskiej wody, bo miała ochrypliły głos.

– Serio?

– Chcę iść z tobą.

– Nie możesz, a jeśli z kolei ja tu zostanę, to nie będę mógł znaleźć takiego bohatera, co cię stąd wyprowadzi.

– Bo sam nie jesteś bohaterem?

– Chyba zaczniesz rozumieć.